ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 7 października 1934 r. | Nr. 41

Stanisław Piasecki

Literatura chłopska rozwija się

Było to jakoś niedługo po ukazaniu się z druku „Mateusza Bigdy“ Kadena - Bandrowskiego. Głowkowierch oficjalnej literatury, zachęcony trwającem od samych dni majowych ulicznikowskiem pogwizdywaniem quiproquistów, bandziarzy i innych bacznościowych dowcipnisiów na Witosa i bezkrawatowe (o zgrozo, o wstydzie!) chłopstwo, wymierzył właśnie chłopu ostatniego kopniaka, wdeptał go w błoto, opluł i opaskudził na iluś tam stronach trzytomowej, zakalcowa tej powieści. Chłop się już nie liczy, nie ma go, nie istnieje! Jesteśmy tylko my, elita, brygada, Akademja.

I właśnie, gdy wszystkie trąby oficjalnej krytyki grzmiały rozgłośnie na cześć wspaniałej kadenowskiej epopei, malującej mistrzowsko rzeczywistość współczesnej Polski — niedostrzeżony przez miejską, kawiarnianą elitę, dojrzewał na dalekiej, nieznanej wsi proces głębokich wewnętrznych przemian, odbywało się wielkie przegrupowywanie sił i okopywanie pozycyj do nowej manifestacji odwiecznej chłopskiej krzepy. Bez kierownictwa, bez komendy, bez planu. Podświadomie, biologicznym instynktem trwania. Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las.

Skoro zawiodła polityka i politykierzy, skoro mądre pany wykierowały w mieście chłopskich synów na dudków, a w dodatku niektórych Dudków zasymilowały na Dudkowskich, to trzeba jakoś inaczej, przezorniej, szerzej i głębiej brać się do rzeczy.

W młodem pokoleniu chłopskiem widzenie spraw jest zupełnie inne, niż to bywało w starszem. Rośnie z dnia na dzień poczucie własnej wartości i roli cywilizacyjnej, jaką niedługo już chłop będzie musiał odegrać w życiu polskiem. Rośnie wiara w własne siły i konieczność walki, jaką niebawem stoczyć wypadnie. Coraz rzadziej czad miejskiego koczownictwa uderza do głowy studjującym na uniwersytetach synom chłopskim, coraz rzadsi są dezerterzy, co to i swego się wyrzekli i w obce się nie wgryźli. Rozwija się z żywiołową siłą własny, chłopski, odrębny i tem właśnie wartościowy ruch umysłowy i literacki.

Bezmała rok temu, w artykule „Chłopy idą“, zwróciłem uwagę na to zjawisko olbrzymiej doniosłości kulturalnej i społecznej. Zilustrowałem je kilku przykładami, które mi się nasunęły z najbliższego terenu. Wywiązała się wcale obszerna dyskusja prasowa. Ale, jak to najczęściej u nas bywa, temat ważny i poważny stał się odskocznią do załatwiania osobistych porachunków. Głupkowate zaczepki można było spokojnie zostawić bez odpowiedzi, a samo zagadnienie wydawało się polemistom nieistotne. Chłopy idą? Ha, ha, ha!

Wkrótce potem front uległ zmianie. Licho wie, a może naprawdę idą? Może bezpieczniej będzie objąć nad tym marszem komendę? Ci sami, którzy się niedawno śmiali, zaczęli naodmianę organizować wieczory poezji chłopskiej, ba, nawet pod najoficjalniejszem przewodnictwem prezesa Akademji Literatury zwołano do Warszawy zjazd literatów ludowych. I znowu kulą w płot. Bo przecież istotą ruchu umysłowego, jaki idzie teraz przez wieś, jest to, że nie chce i nie potrzebuje opiekunów, protektorów, doradców i komendantów. Skończyło się poklepywanie po ramieniu „młodszych kolegów z ludu“. To oni nam mają teraz coś do powiedzenia i rad im naszych nie potrzeba.

Kto choć trochę się zapoznał z prasą ludową, zwłaszcza zaś z młodą prasą, ten wie o tem doskonale. Poziomu dyskusyj na łamach takiej „Młodej Myśli Ludowej“, pozazdrościćby mogło temu miesięcznikowi niejedno pismo młodzieży w Polsce. Poruszane tu są tematy najrozmaitsze: społeczne, religijne, polityczne, literackie. Książki wybitnych działaczy ludowych, jak Niećki „O życie wewnętrzne wsi“, czy Jerzego Kuncewicza „Przebudowa społeczna“, wywołują zażarte polemiki i spory, zawsze jednak nacechowane dobrą wolą oponentów i pasją zgłębienia zagadnienia, a nie jego peryferyj. Rzecz przytem znamienna: niezależność „Młodej Myśli Ludowej“, czy „Wici“, czyni z nich pisma frapujące świeżością i oryginalnością dyskusyj w przeciwieństwie do „urzędówek“ ludowych w rodzaju „Młodej Wsi“, czy miesięcznika „Wieś“ (pod redakcją Zegadłowicza), jałowych naogół i nudnych.

Najciekawszem jednak zjawiskiem jest żywiołowy rozwój literatury chłopskiej, świadomej swych zadań i nowych pierwiastków, jakie wnosi do kultury polskiej. Przez ostatni rok dokonał się na tym terenie przełom olbrzymi. Weźmy choćby taki przykład:

Wychodzi we wsi Naprawa koło Jordanowa pismo „Wieś — jej pieśń“. Miesięczniczek buńczucznie nazwany „organem literatów ludowych w Polsce“, był sobie zrazu pisemkiem, w którem zabierali najczęściej głos poeci ludowi dawnego typu „oj - danowego“ i w którem bezkrytycznie drukowano lada grafomaństwo. Ale wkrótce pismo nabrało rumieńców. Jeszcze je ciągle obciąża balast słabych i bardzo słabych wierszyków, częstochowsko rymowanych. To prawda. Sam jednak fakt, że powstał organ specjalnie chłopskiej twórczości poświęcony, spowodował zgrupowanie się koło „Wsi i jej pieśni“ pierwszorzędnych talentów młodej literatury ludowej i dozwolił na wyłowienie spośród masowo nadsyłanych do pisma utworów — talentów nowych. W ostatnim numerze miesięcznika ogłoszono już zapowiedź przekształcenia go w dwutygodnik, którego zamiarem jest „skupić ściśle uświadomionych pisarzy chłopskich w czysty, wykrystalizowany front nowej chłopskiej literatury“.

Dźwięczy coraz częściej w „Wsi i jej pieśni“ ton klasowy, a artykuły dwóch najwybitniejszych współpracowników, Wojciecha Skuzy i Marjana Czuchnowskiego, zalatują raz po raz terminologją marksistowską, co poniektórym opiekunom „młodszych kolegów z ludu“ spędza sen z powiek. Ja tam (bo nie mam ambicji opiekuńczych) nie przerażam się czerwonością młodej literatury chłopskiej. Byłaby skłamana, zafałszowana i nieprawdziwa, gdyby nie była czerwona. Z chłopskiej, kilkumorgowej nędzy rośnie i walczy o lepsze jutro, walczy o Polskę, któraby dla dwudziestomiljonowej rzeszy chłopskiej nie była macochą, ale matką. Że powieść Kruczkowskiego „Kordjan i cham“, zaczytywana do zdarcia kartek we wszystkich bibljotekach ludowych, staje się dla pisarzy chłopskich ewangelją, to nic dziwota. Żadna książka w latach ostatnich nie zrobiła na mnie większego wrażenia, niż ta właśnie. Jest w niej groźne memento: że Polska niesprawiedliwości społecznej może przestać być dla chłopów ojczyzną. Że zaś młodzi chłopscy pisarze, jak Skuza i Czuchnowski, walcząc z krzywdą społeczną, zapożyczają słów i pojęć z obcej terminologji, to też nic dziwnego. Dopóki nie znajdą własnych, celniejszych. Bo czerwień młodej chłopskiej literatury jest tylko połową czerwono - białego sztandaru, który nigdzie głębiej nie jest wbity drzewcem w ziemię, niż na wsi. Poprzez klasową ornamentykę aż bucha piśmiennictwo chłopskie polskością.

W grupie „Wsi i jej pieśni“ największą indywidualnością pisarską jest W o j c i e c h S k u z a. Jego poemat „Kumac“ (kumac — to taki, co się z panami kuma), gorzko i boleśnie opiewający dzieje Bartosza Głowackiego, zesłanego po powstaniu przez swego pana w austrjackie rekruty, za to, że nie chciał pańszczyzny odrabiać i na serjo wziął nobilitację racławicką — to poetycka transpozycja podobnego motywu, jaki na tle powstania listopadowego przeprowadził w „Kordjanie i chamie“ Kruczkowski. I mniejsza z tem, czy prawdziwe historycznie są dzieje Bartosza tak, jak je przedstawia Skuza, a co do czego historycy nie wypowiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Nie jest również ważne, że Kruczkowski, wbrew historycznej prawdzie, kazał swemu Deczyńskiemu wyłamać się z szeregów podczas powstania listopadowego, bo to powstanie było dla chłopa powstaniem panów. Smak piołunu ma świadomość, że zarówno powieść Kruczkowskiego jak i poemat Skuzy są prawdziwe przez p r a w d o p o d o b i e ń s t w o takiego właśnie obrotu wypadków.

Gdyby istniała u nas zdrowa opinja literacka, poemat Skuzy o „Kumacu“ stałby się niewątpliwie wydarzeniem dnia, a nie zaginąłby w powodzi nikomu niepotrzebnych tomików z wierszyczkami lirycznemi z powagą omawianych przez speców krytyki. Reprezentuje bowiem „Kumac“ wysoką rangę artystyczną. Wiersz dźwięczny, mocny, po chłopsku prosty, a jednak kunsztowny w formie. I rozmach wielkiego talentu.

Niemniejsza żywiołowość talentu bije z poezyj M a r j a n a C z u c h n o w s k i e g o. Tu jednak bezpośredniość wypowiedzenia się i — co równie ważne — zrozumiałość dla czytelnika, mąci forma zawiła i trudna, awangardowe eksperymentowanie pozostałe z dawnego nawyku... burżuazyjnego, gdyby użyć terminologji Czuchnowskiego. Świeżo wyszedł z druku poemat Czuchnowskiego „Trudny życiorys“, w którym łamanie się nawyku formy z burzliwą bezpośredniością treści czuje się na każdej stronie. Gdzie Czuchnowski - poeta zwyciężył Czuchnowskiego - eksperymentatora poetyckiego, tam wyraz osiąga przejmujący *).

Na przeciwnym do Czuchnowskiego biegunie stoi odkryty przez „Wieś — jej pieśń“ nowy talent chłopski — góral S t a n i s ł a w N ę d z a z Kościelisk. W jego wierszach, gwarą podhalańską pisanych, dochodzi do głosu porywający prymityw poetycki. Najczystszy to bodaj przykład świeżości i odrębności chłopskiej w poezji.

Naprawa koło Jordanowa, przez wychodzące tam pismo „Wieś — jej pieśń“, stała się jednym ośrodkiem literatury chłopskiej — drugi najpoważniejszy ośrodek mamy dziś w Sandomierskiem. Dziwaczne jakieś nieporozumienia sprawiają, że jordanowczycy ścigają z zawziętością polemicznemi strzałami najwybitniejszego pisarza grupy sandomierskiej, S t a n i s ł a w a M ł o d o ż e ń c a, choć właśnie pomiędzy Młodożeńcem a Czuchnowskim najbliższe wykazaćby można pokrewieństwa poetyckie z tem tylko zastrzeżeniem, że Młodożeniec już się wyzwolił z niewoli futurystycznej formy, a Czuchnowski dopiero rozplątuje więzy krakowskiej awangardy. Ostatnie utwory Młodożeńca coraz bardziej brzmią nutą społeczną i coraz to zyskują na sile wyrazu.

W grupie sandomierskiej przeważa jednak proza. W i n c e n t y B u r e k (którego tom opowiadań z Ocinka ukaże się niebawem w wydaniu książkowem), R o m a n K o s e ł a i W i n c e n t y S t o j e k tworzą nowy typ narracji, podbijając czytelnika bogactwem języka chłopskiego i prawdą obrazu dzisiejszej wsi.

Osobny rozdział — to poznańczyk, W o j c i e c h B ą k, którego tomik „Brzemię niebieskie“ wyszedł niedawno nakładem J. Mortkowicza. Dawno już nie czytało się poezji równie świeżej, równie szczerej i równie głębokiej. Gdy się czyta wiersze Bąka, odzyskuje się wiarę w lirykę współczesną, tak straszliwie zbanalizowaną przez epigonów Staffa i skompromitowaną przez zalew młodzieńczego grafomaństwa.

Nie sposób w krótkiej notatce dać rozbiór wartości liryk młodego wielkopolskiego poety. Można tylko zasygnalizować ten zbiorek, składający się z samych arcydzielek (zwłaszcza poemacik „Ksiądz Wikary“, „Bałwochwalcy XX wieku“ i „Wiersz o Polsce“). Można tylko zawołać radośnie: oto zjawił się prawdziwy poeta! A to nie przypadek, że ze wsi. Tam coraz częściej zaczynają tryskać nowe źródła naszej literatury.

Jeszcze jeden przykład, bo wszystko to są tylko przykłady: nie pokusiłbym się o szkic choćby, który miałby pretensję do wyczerpania nazwisk młodej chłopskiej literatury. Zawcześnie jeszcze na to. Ale ten przykład wydaje mi się tu niezbędny.

Odrazu trzeba powiedzieć: antypody Bąka. Autor „Brzemienia Niebieskiego“ to dojrzałość poetycka, wysokie majsterstwo, skończoność formy. M a r j a n K u b i c k i, autor „Chleba“ i „Sosnowych słów“ — to samouctwo, zalatujące często gęsto grafomanją. I odstraszający przykład działania atmosfery „oficjalnej“ na zabłąkanego w mieście samouka chłopskiego, który przylgnął do „urzędówek“. W jednym z wierszy taki passus: „Dla was jest brześcia mało, mało, wy plwający geszefciarze“...

Ale ten sam Kubicki, gdy zapłacze nad swoim losem zagubionego wśród murów miejskich chłopa, gdy się w nim odezwie wieś, nakreśli przejmującą odę do siostry-sosny na placu Saskim.

Uzupełnieniem tego artykułu jest minjaturowa antologja trudno nieraz dostępnej dla szerszych kół czytelniczych współczesnej poezji chłopskiej, zamieszczona na następnej kolumnie dzisiejszego numeru. A raczej może odwrotnie: artykuł powyższy jest tylko dodatkiem do wyboru poezyj Bąka, Czuchnowskiego, Młodożeńca, Nędzy, Kubickiego i Skuzy.

*) Poemat Czuchnowskiego bezprzykładnie pociachany został przez cenzurę. Białych plam tyle prawie, co tekstu. W tem samem mieście, w którem bezkarnie drukuje się kilkudziesięciotysięczny nakład „Tajnego Detektywa“, konfiskata awangardowego poematu, odbitego w 150-ciu egzemplarzach i uznanego za zagrażający bezpieczeństwu publicznemu, nabiera specjalnego posmaku.

Alfred Jesionowski

Historja Aleksandra Głoda

Artystycznie przetworzona autobiografja maszynisty - szturmowca*) odbiega ogromnie od powieści sowieckich dotąd przez „Rój“ wydanych. Uderza szczerością, brakiem hałaśliwej i uprzykrzonej agitacji, ujmuje tonem idealistycznym, patosem cierpienia, zbrodni i nawrócenia, wstrząsa swą ponurą prawdą. Nie znaczy to, by powieść Awdiejenki nie była propagandową, — owszem, nawet wybitnie nią jest, nie przez apel do mózgu, ale przez zwrócenie się do serca, ludzkiego współczucia, przez to, że porusza struny najszlachetniejszego idealizmu. Zdumiewający talent autora, wysoka skala artyzmu powieści wyróżnia się tem silniej, jeśli powieść tę porównamy z innemi, poprzednio wydanemi utworami sowieckich pisarzy, z niedawnemi próbami u nas, z takiem np. „Obliczem dnia“ Wandy Wasilewskiej.

Awdiejenko unika wszelkich świadomych jaskrawości, nie gromadzi przykładów przemocy burżuazyjnej, nie dobiera specjalnie momentów obciążających kapitał.

Awdiejenko unika wszelkich bez emfazy i patosu dzieje rodziny górników i hutników rosyjskich, przed wojną na tle całej wioski przemysłowej, mówi poprostu o nędznych zarobkach i ich skutkach: głodzie, pijaństwie, prostytucji, wegetowaniu gorszem od psów bezdomnych, wegetowaniu niemal bez skargi. Autor nie skierowuje również reflektora obserwacji szczególnie na tych, którzy stan ten zawinili, właścicieli kopalni, traktuje ich nawet z pewną dobrodusznością. Zło i klątwę pracy uosabiają dozorcy (przecież niemal swoi), wyzysk i zło społeczne ma swą siedzibę w karczmie. Pierwsza mała rewolucyjka skoncentrowana jest właśnie przeciw karczmie — a nie siedzibie właściciela kopalni. Ten daleko posunięty, przesadny może nawet objektywizm autora dowodzi dużej dyscypliny myślowej i uczuciowej, boć zupełnie naturalnie spodziewać się należało, że autor da folgę swej nienawiści, nagromadzonej przez lata nieszczęsnej młodości, lata głodu, poniewierki, życia dziecka-bandyty.

Dziecko wyrwawszy się z tego ponurego środowiska wskutek braku opieki, zmuszone do poszukiwania na własną rękę pożywienia, przechodzi przeszkolenie złodziejsko - bandyckie — aż trafia do sowieckiego zakładu wychowawczego, gdzie po pierwszych buntach poznaje rozkosz ciepłego ogniska, przyjemność systematycznej, uczciwej, pożytecznej pracy, tak, że w niedługim czasie staje na czele samorządu wychowanków zakładu. Odrodzenie duchowe i fizyczne, jakie się dokonało w chłopcu podczas pobytu w zakładzie wychowawczym, podyktowało mu zapewne to entuzjastyczne ujęcie życia zakładu. W naszych niedowierzających umysłach budzą się poważne wątpliwości, co do idealnych stosunków i świetnego systemu wychowawczego, jaki tam panował. Mamy przecież relacje autentyczne (Riabcew), że nie tak idealnie przedstawiała się sytuacja w zakładach, w których umieszczano młodzież zdziczałą, wyłapaną z ulicy, nor podmiejskich i śmietników.

Wychowanek zakładu wychowawczego przeradza się w komsomolca, uzupełnia swe wykształcenie, uczy się fachu ślusarskiego, dostaje się do Magnitogorska, gdzie rozwija się pełny ideowy komunista, szczęśliwy, że umie pracować, że wie dlaczego i dla kogo pracuje, opętany furją pracy, szturmowiec idący na wyścigi z kolegami w budowie nowego ustroju społecznego, dokazuje czynów bohaterskich, nieludzko szczęśliwy, że wykazał swą pożyteczność i wartość. Aleksander Głód — pracownik, należy całkowicie do komuny, i tomy wypełnia życie po brzegi — kiedy do tego dochodzi miłość, szczęście najbardziej osobiste, kielich radości się przelewa...

Konstrukcja powieści jest najzupełnie „burżujska“, jeśli tak powiedzieć można, powieść budująca à la „Na wyżynach“ Rodziewiczówny, nastrojona na wysoką nutę idealizmu, niepozbawiona patosu, i tem skuteczniejsza, jako narzędzie propagandy, szczególnie zagranicą, gdzie takie powieści liczyć mogą na czytelników z wszystkich sfer, gdzie zapewne odpowiednio oddziałują. Akcja nie posuwa się w zawrotnem tempie, jakeśmy to widzieli w powieści Katajewa, Wsiewołoda, fabuła rozwija się zupełnie spokojnie i naturalnie, cała powieść zaś przypomina z ujęcia najzupełnie powieści zachodnio - europejskich pisarzy.

Zdumiewająca jest kultura tego robotnika - pisarza, o ile rzeczywiście takie były jego koleje życia, zdumiewający talent autora, który swem opowiadaniem ujmuje, wzrusza, podnieca, dzieło według sławnej recepty Rodina: Le grand point est d'être ému, — d'aimer, d'espérer, de fremir, de vivre. Etre homme avant d'être artiste. Takim wydaje się z powieści Awdiejenko.

Autor celuje w świetnej obserwacji. Ludzie przezeń opisani — to postacie żywe. Postać starego Nikanora, krzepkiego chłopa o niespożytych siłach żywotnych, to postać wyjęta z epopei bohaterskiej, jego historja, to najlepsza część powieści, jeśli chodzi o stronę artystyczną, psychologiczną; niezmordowany robotnik — zapobiegliwy gospodarz — człowiek roztropny, poważny i szanowany — aż do chwili, kiedy potworna praca, nieludzkie warunki wytrwania, nieszczęścia wszelkiego rodzaju pozbawiają go rozumu. Inne zupełnie typy — to ojciec i brat Aleksandra, nie tak twardzi fizycznie, ale hartowni duchowo. Aleksander Głód patrzy jak kolejno dziadek ginie wskutek obłąkania, ojciec przez pijaństwo, brat przez nieszczęśliwe wypadki, siostra w kleszczach prostytucji. Każda z tych postaci ujęta jest z przekonywującą głębią życiową, subtelnie zindywidualizowana. Dobrze zaobserwowane są także sceny zbiorowe, odruchy masowe. Tak, trudno nie przyznać, talent nieprzeciętny.

Z wszystkich dotąd przez „Rój“ wydanych powieści, ta właśnie wydaje mi się bezsprzecznie najlepszą — ale i najniebezpieczniejszą, pierwsza to powieść sowiecka, jaką znam, gdzie naturalistyczne, bardzo realistyczne opisy harmonijnie połączone są z wybuchami liryzmu, gdzie z nienawiści krwią nabiegłe oczy za chwilę zachodzą mgłą sentymentalnych łez. Powieść ciekawa i artystycznie bardzo wartościowa.

Ale możeby już było dość narazie powieści sowieckich! W „Nowej Serji“ „Roju“ bardzo dotkliwie odczuwa się brak francuskich i niemieckich pisarzy współczesnych. I w Niemczech i w we Francji dzieją się ciekawe rzeczy, które swe oblicze znajdują w literaturze. Wartoby kilka z nich przyswoić językowi polskiemu, myślę o nowych powieściach Jules Romains'a, Mauriac'a, Greena, Martin du Gard'a i innych, o powieściach Danthendey'a, Hansa Grimma i kilku współczesnych pisarzy niemieckich. „Nową Serję“ trzebaby ich dziełami koniecznie ożywić — a powieść bolszewicką narazie odłożyć ad acta.

*) **ALEKSANDER AWDIEJENKO: „Kocham“.** Przekład H. Pilichowskiej. „Rój“ — Nowa Serja. 1934. Str. 311.

P O E Z J A   C H Ł O P S K A

Wojciech Bąk

Wiersz o Polsce

Nie rozumiem, przyjacielu miły, czemu krzyczysz:
[„Polska — wielka rzecz",
Paląc serce ogniem wiersza jak suche łuczywo.
Wołasz ciągle: „Drabina tęczowa, archanielski
[miecz,
Zanielona ziemia złotogrzywa!"

Deklinujesz: „Polska, Polski, Polsce" — jak pa-
[robek bełkocąc pijany,
Któremu fantastyczniej ą legendą sosnowe chałupy
[ściany —
Sufit nad głową mu się żaglem bieli,
A podłoga — gliniana podłoga rozpływa się
[w świetlnej topieli.

Wołasz: „Stolicą wyrasta jak hymn uroczysta,
Jak prorocy niebem porywana,
Jak anieli świetliście przejrzysta —
Jeruzalem, Jeruzalem miłowana!"

A patrz: przecież jest prosta —
Nie wiem, czy jest małą, czy też wielką rzeczą:
Wiem tylko — codzienna i konieczna
Jak powietrze!

A patrz: nie wiem, czy Jeruzalem,
Czy archanioł złotogłowy —
Wiem tylko — nieodzowna, a prosta jak chleb,
Na który trzeba codzień zarobić na nowo!

Bałwochwalcy XX wieku

Nie wiesz, czemu w sercu jęk jak żużel,
Czemu sen jak topór w pierś uderza?
Patrzaj: oto sosny kąpią głowy w chmurze,
Zielone gotyckie wieże.
Gałęziami wyrosły wysoko,
Jak im kazał mądry nakaz soku —
Jak im kazał nieświadomy rozkaz,
Z ziemi korzeniami wysłuchany,
W każdym liściu i w każdym konarze
Alfabetem nerwów wypisany!

Oto źrebię, jak z księgi rytmicznej,
Z tętna serca jasną mądrość czyta —
I źrebięcą pogodą nad światem
Rży radośnie jak ponad korytem.
Ani mniejsze, ani większe niż krew każe
Żyje prosto jak żyto i owies,
Jak mech siwy, modra koniczyna
I jak dęby — chmurzyska listowia.

Oto chłop jako chleb drożdżami
Nabity zdrowia —
Spokojny jak chałupa z bierwion,
Twardy, jak pług stalowy.
Oto obok kobieta brzemienna,
Jako ziemia cierpliwa,
I jak ziemia żniwami ciężarna,
Senna!

Ciężko stąpa, lecz mądrą ciężkością,
W nakaz tajemniczy zasłuchana,
Którym krew jej szepce w ciele bujnem —
Strumieniami mądrości rozlana!

* * *

A ty? Spojrzyj, co z tobą zrobili,
Bałwochwalco wieku — dusznej zmory!
Policzyli, pomierzyli, oznaczyli,
Odrąbali od ziemi toporem.

W histerycznym świście, jęku syren
Serce zdarli, jak biczem na strzępy —
Przy maszynach, oszalałych wirem,
Chodzisz — robot — ogłuchły i tępy.

Półlunatyk toczysz się jak kukła,
W ruch puszczona naciskiem sprężyny —
I już, patrz — nie człowiek żywy stoi,
Lecz maszyna kręci przy maszynie.

Zmaszyniałe widmo mechanicznie
Wciąż tak samo ruszasz się dokoła —
I jak w wieczność patrzysz hipnotycznie
W tarczę błędną — wirujące koło.

A to koło mózg pędem rozdziera
I pod czaszką obłędem się kręci —
I otchłanie jak świder otwiera
Przepaść pustki — chaos niepamięci.

I człowieka niema. Słupem ciała
Trup, porwany rozpędem turbiny —
I nie człowiek — lecz w huku i trzasku
Nieżyjące i żywe maszyny!

* * *

Nie wiesz, czemu nocą jęk, jak żużel,
Czemu sen toporem w pierś uderza?
Oto człowiek nocą się obudził,
Który dniem — zabity — w sercu leży.
Oto człowiek, co wie, że mógł wzrosnąć
Barczystą, rozumną sosną —
Drzewem ludzkiem z niebem gałęziami,
Z ziemią korzeniami powiązany —
Oto człowiek — skaleczony maszynami,
Zamieniony w dwunożną maszynę —
Budzi się jak upiór w dusznej nocy
I bełkotem nierozumnym wzywa
Pomocy!

Z tomiku **„Brzemię niebieskie"**. Warszawa, 1934, Nakł. J. Mortkowicza

Marjan Czuchnowski

Szkoła

Okienka szkolne drżały w strzyżone orły.
Głowy uczniaków w żółte guzy.
Oddech zaużenia izba unosi.
Smród szumi zły,
Z wydartych portcząt czerwone nogi.
Parują szronem sine nosy.
Dzieci baczność, na pauzie zbiórka.
Teraz o Wodzu lśni wykład, biały i duży.
A mróz podchodzi w ciała z podłogi
ziejącą mgłą w opowieść sytych.
Zimno się mierzy budżetem gminnym.
Rada gminna wiejskich bogaczy
dziadom nie myśli opalać szkoły.
Tu młoda pani w myślach utknęła.
Dzień w zaspach drgnął.
Tak się wyszumiał wykład wesoły
w zimową szarość zimnego podwórka.
Poranek rozlał śmiech płynny.
Chłopakom żarem wiało w rajtuzy.
Maleńka pani głos rozwinęła
w załomy świeżo rozkwitłej róży —
złotosłowo.
Pauza wylała krwią wiejskich krzykaczy,
w ruch ramion, śnieżycę i zwadę.
Zbiórka na dworcu, pani prosi.
Blond włosów promień nieśmiało dotknął.
Won kobieca drży chwilkę
zbudzona.
Chłopcy, brygadę!
Zaległa cisza — — — tylko —
w różowych uszach pani nerwowo:
kolczyków winogrona.

Fragment poematu **„Trudny życiorys"**, Kraków, 1934.

Stanisław Nędza

W Kościeliskak

Druhowi Jantkowi z Bugaja w odpowiedzi.

Hoć tu w Kościeliskak, kamieniste pole,
Nie pudem na Bugaj ani na Podole,
Nad śerokom Wisłe ni nad Dunaj siwy,
Bo jo w Kościeliskak jak prosek scęśliwy.

Jakbyk z hól odeseł, mozebyk zobocył,
W zimnej rosie w polu, kyrpioski przemocył,
O ile piórko spadło-by mi z kapelusa,
Cobyk pożroł w Tatry, płakałaby dusa.

Jo se w Kościeliskak, wiela nic nie robiem,
Stojem przed muziką i nogami drobiem,
A jak mi ochota, to po wierśkak chodzem,
— Jako sie mi trafi — to jej głowe zwodzem.

„Wysoki zomecek,
wzioneś mi wionecek.
Jesce wyzso skała,
samaś mi ga dała".

Nie bojem sie piekła, Pon Bóg stworzył grzechy,
Coby biedny człowiek, tes uzył uciechy,
Pudem do spowiedzi, ksiondz sie załknie ślinkom,
Słodki taki grzesek, ze słodkom dziewcinkom.
Hoć panna z Warsawy, mnie stego nie gorzej,
Kie górale ginom, niek sie ślachta mnozy.

Hoć u mnie na polu, chleb sie nie urodzi,
Zafse ta co moze, Poniezus nagrodzi,
Idom owce w hole, na zwonkak turkocom,
Jo za nimi śpiewom, zielonom ubocom:
„Idzie juhas idzie, między zieleniny,
śpiewo i terliko, pojod baraniny".

Ej joby sie Jantuś z Tobom nie pomienił,
Boś Ty w moim polu, skołek nie docenił,
Śmiejes sie z „grulecek", śmiejes sie z owieska,
Jako-byś Ty jako, w Kościelisku mieskoł,
Fto kce wysej mieskać, troche blizej nieba,
wystarcom mu grulki, nie musi jeść chleba...

Tej mojej gazdówki, śtery morgi całe.
W polu sie mi pasom, dwie owiecki biołe,
A krowy-łysiny, nimom jus od roku.
Wzion jom egzekutor, łońskiego przednowku.

Dziwują sie ludzie zaco jesce pijem,
sprzedała dziewcina, korole ze sije.
Nimas tes to nimas, jak chłopskim poetom,
hoć im w brzuchu mruci, o kochaniu pletom.

Nie mieńmy sie Druhu ni ciałem ni dusom,
Śpiewojme po lesie, jas sie lasy rusom,
Jas sie lasy rusom, ze liście polecom.
Jas sie pod strzechami, kosy ozeświecom.

Hoć jo moze głodny, hoć jo moze bosy,
nie zlęknem sie cepów, nie zlęknem sie kosy,
Wyjmyj swoją Jantuś, na kosisku poprow,
bedziemy kosili ku jesieni potrow.

Moze nom przi zbiórkak, Poniezus posceci,
zamiast cicho płakać, lepiej pogryź pięści,
Na nase gazdówki, jus racej nie mieńmy,
majom pany dwory, to sobie przycińmy.

„Wieś — jej pieśń", nr. 6, 1934.

Stanisław Młodożeniec

Teraźniejsza śpiewka

Tam u mostu w nocy krzyk —
buty chłopu djabeł szył...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!..

Srala-Bartek skręcił kurz:
„Naści portki — to se włóż!"

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

Za łozami w ślipia ślip —
latarniami świeci wilk...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

Pogmyrz w rowie — najdziesz pioch,
będziesz dzieciom cukier mioł...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

Pogmyrz w stawie — ciągnij muł —
będzie, będzie sól na stół —

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

Tam u mostu w nocy wrzask —
Lichot chłopa łajnem pasł...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

Chłop nie strzymał — łamie post —
to Lichota prask przez nos...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

To Lichota prask przez pysk —
będziesz z juchą ziemię gryzł...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

Tam u mostu: „He-he-he!"
kumendyje — tyjatr ten...

Ano-no, ano-no
ano-ano, ano-no!...

„Młoda Myśl Ludowa", nr. 10, 1934.

Marjan Kubicki

Sosna na placu Saskim

Cóż Ty robisz o najbliższa mi siostro
tu —
sieroto jako i ja, uosobienie bezwoli,
najbliższa ludzkiej doli, licha drzewino
o samotna — skarlała czasem — sosno!

Jakiż los kazał ci gruźlicą umierać
na tym pustym i żwirowym placu
i słuchać nocą głuchą echa — co serce rozdziera—
przeminionych lat, daleki czas, czasu żal luty —
dziś karabinów chrzęst, łopot nóg, dudnienie armat
[masz
o samotnico płacząca Chopinowską nutą...

Nie słyszy przecież nikt i zresztą poco?
gwar, gwizd, ryk, ujadanie dzwonków
miasto, miasto twój śpiew tłamsi cichy!
i pocóżeśmy tu przyszli o siostro!
tu —
czy żeby słyszeć własne i innych jęki
i umrzeć wpierw nim się w rzeczywistości umrze?

O siostro! Żal nad nami łachmanem kultury wisi
tu —
przecież to miasto — patrz jak wesoło,
każdy „chochołem" swoją duszę żenie precz
tańczy każdy przez siebie swoją własną treść —
a tobie czemu — a mnie czemu — smutno
siostro!

Tyle już lat przeszło, przeciekło
tu —
wiosny i lata, jesienie i zimy — długi wiek
patrzyłaś na to miasto... słyszałaś, pojęłaś
ludzkie raje, znoje, piekło — to co przeżywa człek.

I jeszcze żyjesz mimo bólu siostro
całujesz mnie siostry pieszczotą, igliwiem
najbliższa mi, męką wspólnych doznań bliźnia
dziewczyno ukochana z mazowieckiej piaszczystej
[niwy
sosno!

Złączył nas czas tem co w nas minęło i nie wróci
tem czemśmy żyli, co było obok w innych i w nas
to nas związało, aże po chwile,
kiedy mnie złożą w dole, w gęstym i ciężkim ile
a ty będziesz płakać szumem Kampinoskiej Pusz-
[czy etiudą emoll.

Z tomiku **„Sosnowe słowa"**, Warszawa, 1934, nakł. Z. M. L. „Młoda Wieś".

Wojciech Skuza

Bartosu, Bartosu...

Chyłkiem dymy się chłopskie z chałup rozwlekły
[po polach
dźwigał wiater mgły w górę — kropił zdrowy
[deszcz role —
— a — Bartos ta lazł powoli, wolniutko, jak
[wieczór —
— czegoż-żeś się, Bartosu, u Kościuszki docze-
[kał? —? —
odniechciało ci się bitwy (—wojna nie wesele!)
śmierć gwizdała po polach, by go ino w łeb
[zdzielić —
— wzion się z śmiercią za bary — i przemógł
[brzydulę —
pieszo-konno — o kuli — — —
szedł
— 1 —
słyszał:
— kosa w stodole: klep-klepie:
„będzie ci, Bartos lepiej
ino ze zdrowiem
do tych Rzędowic się —
— zwlec —"
— — —
— — —
— — —
! — zaszczekały pańskie psy
psy pana dziedzica —
— wyleciały w księżyc wyć —
do Bartosa hycać —
wdział sukmanę gruby dzień
słońcem mgły w las wgonił —
— wyszedł Szujski w dworską sień
„co to?? —
— Bartos w domu??"
— — —
— — —
— — —
— ziemia pańska chleb daje
— chleb się z ziemią nie kłóci —
zboża poszły do gumien
— dwór się d... obrócił —
— do chałup —
zebrała się służba dworska
raniusieńko, rano —
— nie chce Bartos iść na pańskie
— macie z chama pana! —
— dobra kosa na moskala
lecz lepsza od żniwa —
tak, czy owak — chłopska kosa —
pańskie brzuszki żywi —
— — —
— — —
— — —
— wyszedł Szujski w wieś
skłoniły się chłopy —
do Bartosa wszedł.
— ze strzech aż strach opadł.
po zapłociu — ludzie ze wsi
zbiegli się —
słuchali —
rozdziawili:
gęby —
uszy —
oczy —
i — czekali — — —
za kołnierz wziął kniaź Bartosa —
— kopnął w zadek butem —
— ekonom go ściągnął batem —
„hul-ta-ju! —
— w — r e k r u t y!!!"

Epilog

Raz w karczmisku za stołem
usiadł sobie Jan stary —
— księżyc wlazł na stodołe
Dropa prawił do wiary:

„— Dziad mój, Dropa, hultajem
był za czasów Kościuszki —
— koło dworu zła gałąź
huśtała się, jak gruszka — — —

— za mych czasów (pamiętam!)
Kum Wincenty wieś zmawiał —
— wiatr się w drzwiach pelętał
rosły gruszki na trawie — — —

Raz (pamiętam) z wieczora
pod Warszawą stojewa — — —
(— dworski grunt miał chłop orać!—)
— trza się dużo spodziewać!

grzmotły chłopy z kosami
z całuśkiego powiatu
— do kuma, co z panami
chłopow bratał przez lata — — —

a w dworach, jak nie uciekł
ostał pan siaki-taki — — —
— bata trochę przykrócił
i kichał od tabaki!

Wiater w drzewach szeleścił —
— czas, jak wóz szedł na kółkach —
— — —
— — —
— — —
— Kum Wincenty był w Brześciu —
— Bartos jest na — — — bibułkach — — —
— — —
— — —
— — —
mówię: bracia: źle teraz
i dawniej tak bywało! — — —
— — — kura w złocie nie gmera
w chłopach pany gmerają — — —".
— — —
— — —
— — —

Z poematu **„Kumac"**, Kraków, 1934, nakł. Domu Ludowego „Wisła".

Adolf Nowaczyński

Polesie Ossendowskiego

Podczas gdy członkowie dożywotni tej nieszczęsnej Akademji wpadli z nielicznemi wyjątkami w kompletny marazm i skompromitowawszy i instytucję i literaturę, ze wstydu poprostu oniemieli, zdrętwieli, skostnieli i stali za żywa mumjami (akademumje), mniej lub więcej pachnącemi (aloesem), ci, których nie spotkał zaszczyt, a raczej zaszczyn należenia do tej szacownej korporacji pracują w winnicy Pańskiej, jak tam mogą.

Szczególnie krząta się Babieniec czyli Babie Koło (E k k l e s i a r u s a i). Nawet żydowiny cokolwiek dały się przepłoszyć wspaniałem najściem (c o n q u e s t) kobietonów w piśmiennictwo. Wnet dojdzie do gynajkokracji tak się nam Amazonki i Amałżonki rozrodziły, rozpisały i rozpasały. Można już nawet mówić o „niewieściem niebezpieczeństwie". Feminizm na całym froncie, choć coprawda nie matrjarchat. Jeżeli teraz na najbliższem posiedzeniu tej nieszczęsnej Akademji przyjdzie pod obrady smętnych, wyblakłych karmazynów sprawa porozdzielania laurków (Wawrzonów), to najprawdopodobniej cały centnar bobkowych liści przypadnie i to słusznie niezmordowanie klekocącym na remingtonach damom i dziewicom, tembardziej, że je protegują pp. Bejlin i Breiter, Pomper i Pomirowski, Wasserzug i Wasowski.

Jednym z mężczyzn, który nieustraszenie odważają się nadal pisać i drukować jest Antoni Ferdynand Ossendowski, szczęśliwym trafem nie deportowany do haremu eunuchów Kadena-paszy. Opatrzność wynagradza go za tę odwagę i za to niewybranie do Przytułku Miernot w ten sposób, że Ossendowski jest nadal pisarzem najczęściej i najgęściej tłumaczonym, nadal najbardziej znanym na kuli ziemskiej, i nadal najbardziej czytanym i poczytnym p r o p h e t a i n s u a p a t r i a. Ten mały mało-wielki Kadenek robi biedactwo co może; kombinuje, kalkuluje, lawiruje, stara się, stera się, kłania na prawo i lewo, wprzód i wtył, i nic nie pomaga. Coś mu tam gdzieś nawet przetłumaczyli, ale czytać nadal się nie kwapią ni obcy ni swoi. Nawet znienawidzony przezeń konkurent-rywal Boy jakoś się tam trzyma na powierzchni, f l u c t u a t, n e c m e r g i t u r, Kaden-Krakauerczyk, który Ossendowskiemu odmówił patentu na sanacyjną immortalita, dla czytelni i wypożyczalni już jako ten „żywy kamień", nieboszczyk, skończył się, leży na desce i choćby mu zagrali Pierwszą Najlepszą, już mu nie pomoże ani „Święty Boże"...

Ossendovius zasię pełen wigoru, rozmachu i wieczystej młodości! Ile razy zmierzi go do cna warszawskie podwórko literacko-prasowe i ta nuda sakramencka, i te walki pcheł z komarami, i to omlacanie raz jednych raz drugich i te wyczyny „miałkich biesów" i te Pentaki i Ipsiaki, tyle razy gdzieś znika i zaszywa się w przyrodę i w samotność. Po jakimś czasie wraca chudszy, opaleńszy, sprężystszy, zawsze pogodny, zawsze miły, serdeczny, ludzki, wyrozumiały, roześmiany, no a w ręku skrypt, gruby skrypt:

— Masz Zosienka rękopis.

Raz to będzie nowela, raz powieść, raz Afryka, raz Palestyna, a raz znowu najmilsza książka, rozpoczynającego się sezonu:

POLESIE

Zdaje się, że dzieło ostatnie będzie wielką wygraną Ossendowskiego i zdaje się, że to będzie odkrycie naszej Atlantydy. Jest rzeczą pewną, że tak o tej ziemicy nikt jeszcze nie napisał.

Ale zdaje się też, że jak Witkiewicz Podhale, tak Ossendowski odkrył pełne Polesie. Tak wyczerpująco i tak miłośnie. I zdaje się, że Ossendowski przy tej okazji odkrył też samego siebie, nowego siebie, innego siebie. Melancholja początków jesieni żywota widocznie synchronizowała, czy harmonizowała z ciężkim, głuchym smętkiem krajobrazu... Poprzedników miał bardzo mocnych i niebezpiecznych, bo Konopnicką i Weyssenhoffa, nie mówiąc już o pomniejszych, przygodnych, ale także dobrej rangi. A jednak wyszedł obronną ręką, i kto wie czy krytyka nie zaopinjuje, że to jego s t a n d a r d - w o r k i kto wie czy węsząc pismo nosem Kaden ze swoją czeladką nie zechce go obdarzyć nawet pierwszym „wawrzonem", którym jako żywo niczego podetrzeć ni można ni się godzi.

Do pełnego sukcesu i triumfu tej czarującej książki przyczyniło się zmobilizowanie fotografów, którzy okazali się czystej krwi artystami. Dość wymienić Bułhaka i Platera, którzy tym razem przeszli siebie samych, a w książce można widzieć, jak właśnie przechodzili. Ale fotografje to są, jak dawniej bywały, inkunabuły. Można z nimi, ale można i bez nich. Dzisiaj lepiej z nimi, skoro się widzi czarno na białem, że takiego kompletu prześlicznych omal rozczulających swym czarem zdjęć nie miała dotychczas żadna książka polska. Ale tekst sam jest tych ilustracyj więcej niż godny, bo ten tekst jest i solą, i wirtuozoskie s o l o, podczas kiedy obrazkowość to niejako akompanjament.

Do świetnej książki Ossendoviusa każdy może odnieść się inaczej. Myśliwi znajdą tu Golcondę i Szecherezadę równocześnie. Nie można się dziwić, że im przy czytaniu ślinka z paszcz sączyć się będzie, że ich co chwilę poderwie i że odtąd wszyscy z domów będą uciekać w tamte strony, aż się ich wreszcie kilku zagazowanych w błotach potopi. Malarzy zacznie tam ciągnąć uroczyskowa tajemniczość i dżunglowość, która ongi wabiła i oszałamiała drogich nam zmarłych, Fałata i Mackiewicza. Po książce Ossendowskiego zamiast całemi czeredami zjeżdżać do Kazimierza, jak muchy obsiadać izraelskie miasteczko, a potem pstrzyć płótna do nieskończoności, zaczną wreszcie tam ciągnąć i tamto uwieczniać. Może jak Barbizon przyjdzie l'e c o l e d e Ł u n i n i e c...

Manjak natomiast znów na to malarskie dzieło Ossendowskiego reagować będzie inaczej. Manjaka przy lekturze Polesia nagle zacznie rozpłomieniać całkiem inszy problem. Jak dawniej przed wojną, każdy niepodległościowiec, a więc każdy normalny inteligent polski do każdego zagadnienia z każdej dziedziny dostosowywał i doczepiał zaraz: polskość (słoń a Polska, Szkoci a Polska, abstynencja a Polska, alkoholizm a Polska i t. p.), tak manjak mając przed sobą „Polesie" profesora-wojażera ni stąd ni zowąd najniespodziewaniej w świecie doczepi wam i do tego swoją i d e e p e r s e c u t i v e (z w a n g s g e d a n k e).

Oczywiście nikt tym razem nie domyśli się jaką. Każdy będzie przekonany, że z t e m to chyba niema żadnego związku...

Tymczasem atoli tak nie jest. Właśnie że Polesie, Polesie z t e m może mieć wielki związek.

Proszę tylko chwilę zastanowić się i rozmyślić nad całością zagadnienia. Dobrze jest obok książki Ossendowskiego mieć pod ręką rozłożoną dużą mapę Polski. I wtedy się widzi zdumionem okiem to, czego się nigdy nie przypuszczało, co nie leży w świadomości normalnego inteligenta, to o czem się przeciętnie nie wie, a o czem się nigdy nie mówi, a co jest najważniejszym problemem państwowym

przyszłej generacji.

Hierarchicznie to układało się tak: najważniejsze: dostęp do morza. Dalej: wojsko, to znaczy, że w dawnej konfiguracji geopolitycznej Polska nie tylko będzie państwem militarnem, ale m u s i być właściwie i na stałe obozem. Drugie więc: wojsko. Trzecie: węgiel (Górny Śląsk). Czwarte zaś równie ważne: Polesie. Dlaczego Polesie? Dlatego Polesie, że Polesie zajmuje jeżeli już nie jedną piątą całego terytorjum poleskiego, to w każdym razie

jedną szóstą.

O czem nikt nie wie (sic!), nikt sobie nie zdaje sprawy i nikt o tem nie mówi, j e s z c z e nie mówi. A już powinni mówić wszyscy. Jedna szósta część mocarstwa, to są moczarstwa. To są nieużytki, lasy, bagna, wody, gaje, łąki, strumyki, polowania, puszcze, dżungle, głusze, pardwy, jelenie, torfy. Poleszuki, barcie, wody, bagna, lasy, gaje, dżungle, sitowia, ostrowia, strumyki, brzozy, topole, chałupy, woda, bagna; moczary jedna szósta część mocarstwa.

Dziś rok 1934, październik, a tam także październik, ale rok 934, jak za Rzepichy i Cyryla. Ryby, grzyby i wogóle podobno, jak przed potopem, bo podobno i ichtyozaury się trafiają i mastodonty oraz kaleoptery. Jedna szósta część państwa, to same torfiska, bagniska i ludziska z epoki kamienia łupanego. Dla m y ś l i w e g o, to oczywiście raj („gdy pudłuje, nic nie widzi, nic nie czuje").

Dla m y ś l ą c e g o natomiast to nie jest raj, to jest problem, wielki problem jeden z czterech najważniejszych. Co zrobić z tym... „rajem dla myśliwych", równocześnie z bezmiarem nieużytków tak wielkim, jak poniektóre całe państwa w Europie? Polesie, to jest półtora miljona hektarów ziemi, autentycznej ziemistej ziemi. Już nad tem różni myślący ludzie jednak od dawien dawna rozmyślają. Są nawet szerokie i gigantyczne plany, są w tem poważni specjaliści (inżynier Powierza). Tak tego przecież zostawić jeszcze na drugie lat dziesięć chyba nie można i nie wypada. Na Górnym Śląsku przemieszkuje 300 ludzi na jednym kilometrze kwadratowym, przeciętnie w Polsce 83, a tutaj, gdzie Ossendowski z fuzją brodził po kolana w wodzie, bywa, że i 19-tu na kilometr, a milami i dziesiątkami mil żywej duszy, a... żyda na lekarstwo...

Oczywiście każdy teraz przypomni sobie dość rzadkie słowo: meljoracja. Ale jak i czem i z kim? I l d u c e Mussolini osuszył Bagna Pontyjskie i nawet tam miasta pobudował. Ale tego było raptem 75.000 hektarów, a tu u nas półtora miljona. Podstawowe koszty już obliczono: 276 miljonów. Skąd na to fundusze wyduszę, myśli sobie inżynier Powierza i jego ludzie. I martwi się i głowi się, i głową o mur bije, a cały problem nie rusza z martwego punktu.

I wtedy Manjak wyciąga najspokojniej i kładzie na zielone sukno debat... zwykłe sobie jajko Kolumba.

Żydy. „Polski Birobidżan" czy polska Uganda. Część Polesia Ossendowskiego odgrodzić, odłączyć, odseparować i oddać, jak im oddali część Krymu! Samostijne województwo żydowskie ze skoncentrowaną osadniczą rolniczą emigracją. Ziemi wystarczy. Odciąży się przeludniony Zachód i Centrum, odciąży, oczyści a l u f t m e n s c h e n t h u m osadzi na stałem. Innego rozwiązania kwestji żydowskiej ani niema, ani nie będzie.

Przecykanie stosunkowo najzdrowszego fizycznie elementu „młodzieżowego" do Palestyny w tym roku jeszcze bardzo efektywne i efektowne, w przyszłym roku zacznie się kończyć spowodu nadchodzący bezapelacyjnie arabski „r e v i v a l" (po polsku: pogrom). Jak się dla nich nie stworzy jakiegoś koncentracyjnego rezerwatu, to nas zduszą, bo muszą, bo sami nie mają innego wyjścia. Jedyne wyjście i wylew (o u t l o t) może być tutaj na miejscu. F r e j l a n d. Co jeszcze Palestyna zmieści to niech wyjeżdża, a reszta na... Polesie, na część Polesia. Umieli być pionierami w Erec i tam osuszać, to potrafią i tutaj. Przeznacza się na to tę część, która jest własnością Skarbu, państwa, to znaczy 11 proc., z czego już może być piękny obraz. Rzecz prosta, że wtedy cały kapitał na meljorację c a ł e g o Polesia daje żydostwo międzynarodowe, Shylockracja, Wall-Street, Mędrcy Syjonu, firmy i domy: Sassoon, Dreyfuss, Mühlstein i t. p. Rzecz prosta, że całe przedsięwzięcie nietylko bez żadnej krzywdy dla tubylców, ale właśnie tak, aby przeniesieni małorolni chojnie zostali obdarzeni ziemią. Pierwszym polskim h i g h c o m m i s i o n e r, t. j. wysokim komisarzem, jak w Palestynie, P o a l e - P o l e s i a może być ewentualnie wojewoda z rodu i z gatunku Kostków, oczywiście nic nie mający podobnego do św. Stanisława Kostki...

Idea Manjaka przy lekturze ślicznej książki Ossendowskiego, pozornie może wydać się ideą idjotyczną, literacką, barokową groteskową. Przy bliższem poznaniu, rzecz kwalifikuje się do dyskusji. Przedtem atoli należy przeczytać książkę Ossendowskiego o tych uroczych bagniskach, moczarach i topielach, a potem dopiero zadecydować, czy nie w tamte okolice należałoby nakierować Naszych Najmilejszych.

L. Ciechanowiecka

U Jasnorzewskiej

Wywiad z taką poetką, jak Jasnorzewska, to wywiad z motylem. Trzeba nakłuwać tęczobarwnego motyla szpilkami pytań, potem przyglądać się z szatańskim uśmiechem, jak się wije, trzeba brać pod mikroskop pyłek złoty i liczyć kolorowe centki na skrzydełkach...

Miałam tremę idąc do Jasnorzewskiej, ale nabrałam odwagi, gdy się do mnie uśmiechnęła niebieskiemi oczami.. Jest bardzo miła, niesłychanie kobieca i prosta i taka niekboieco skromna... Zobaczyłam panią o twarzy madonny włoskiej, otuloną w miękki domowy płaszczyk, płowy a przytulny, jak futerko angorskiej kotki. Wsunęła maleńkie dłonie w szerokie rękawy, bo z otwartego okna bije chłód październikowego poranku i usiadła w fotelu, plecami do okna. Widzę teraz tylko chiński cień głowy o rozwichrzonych włosach, okalających nieskazitelny owal. Chwilami, gdy odwróci głowę blask poranku zapala się w szmaragdowych oczach. Co to mi one przypominają... Pewien wiersz Jasnorzewskiej:

Włosy płowe od jedwabiu miększe,
i myśli pracujące własną szczerą [pracą,
usta mniejsze od oczu, oczy od ust [większe,
wszystko skazane na śmierć, [niewiadomo za co?

Najprzód mówimy o premjerze. W Krakowie „Pszenica" wywołała istną burzę. Wieczorom dyskusyjnym nie było końca. Kłócono się i spierano na temat męża, co miał kompleks ojcowstwa, na temat udręczonej żony - ofiary egoizmu męskiego, na temat małżeństwa wogóle.

— **A** jak się pani zapatruje na małżeństwo? — Zapytuję pani Jasnorzewskiej, która zresztą nie wahała się trzykrotnie wstępować w niebezpieczne związki. — Jak to jest naprawdę, kto z nich dwojga — on czy ona, jest stworzone do małżeństwa.

— Mężczyzna — pada nieoczekiwana odpowiedź — mężczyzna jest twórcą, jego żywiołem praca (ach jak ona ślicznie po gołębiemu grucha każde „r"). Mężczyzna potrzebuje spokoju, musi ujmować w tamy swoje życie erotyczne. Miłość nie może mu przeszkadzać. (Uśmiecha się trochę ironicznie). — Nielubi być zanadto zakochany. To mu komplikuje życie. A małżeństwo to spokój, opieka, podział zajęć. Że mężczyzna jest stworzony do małżeństwa, dowodzi to, iż rzadko interesuje się swojemi nieślubnemi dziećmi, a nieodmiennie kocha „bez pamięci" swoje legalne dzieci.

Spiczastym palcem poprawia niesforne włosy, opadające na wysokie, gładkie czoło. Myśli przez chwilę.

— Kobieta jest poezją. Mężczyzna — pracą. — Może takby się to dało sformułować — dodaje pytająco. — Kobieta chciałaby uczynić z życia dramat erotyczny, film pełen silnych, pasjonujących uczuć, a mężczyzna broni się przed zbyt gwałtownem uczuciem, które mu przeszkadza w dążeniu do poważnego celu.

Poetka, która buduje dramaty — to ciekawe zjawisko.

— Jakże się to zaczęło? Kiedy pani zaczęła tworzyć sztuki?

Odpowiada cichym głosem, rzucając szybko oderwane zdania, jakby je wyławiając z niepamięci.

— Pewnego razu postanowiłyśmy z siostrą napisać sztukę, na żart. Skomponowało się wtedy wśród śmiechu i zabawy „Szofera Archibalda". No i odrazu go przyjęto. Co to była za radość. Nawet zarobiłyśmy trochę pieniędzy i pojechałyśmy na Riwjerę. Ale potem cóż za rozczarowanie... Oto, gdy w jakiś czas później postanowiłam napisać sztukę serjo — okazało się, że dyrektorzy nie brali mnie na serjo.

Potrząsa smutnie głową i mruży oczy trochę szelmosko.

— Wie pani dlaczego tamtą przyjęli, bez sprzeciwu. Bo ją napisały dwie siostry, trochę narwane dziwożony, córki znanego malarza. Potraktowano to jako sensacyjny żart, psotę, figiel — kasowy. A ja tymczasem uwierzyłam w moje posłannictwo i w pocie czoła ułożyłam nową sztukę, pełną niesamowitych, wizjonerskich sytuacyj. Jak dziś pamiętam, gdy dyrektor oświadczył mi, że jej nie przyjmie, jadłam właśnie barszcz (w Oazie) — nagle ten barszcz stanął mi kością w gardle, oniemiałam, serce bić przestało, musiałam uciec z sali. Ach to było przeżycie... Ale dyrektor miał słuszność — dodaje po chwili.

— Pani pewnie tworzy bez trudu? Jak słowik?

— Gdzież tam. Mozolę się nad każdem słowem. Nie rozumiem tych, co mówią, że potrafią napisać sztukę w tydzień. „Pszenicę" uprawiałam dwa lata. Przecież to nie wystarcza zbudować trzy akty, wraca się co chwila do każdej sceny, zmienia się słowa, sytuacje, postacie — widzi się je coraz wyraźniej. Wiele cennych wskazówek dawał mi dyrektor Krzywoszewski — żeby każdą postać traktować, jak odrębny światek, unikając zbędnych postaci statystujących na scenie. Służąca w „Pszenicy" miała wygłosić szablonowe „podane do stołu" — ale kazałam jej milczeć. Pielęgniarka, ogrodnik (Leliwa był cudowny w Krakowie), Karolcia — to postacie podpatrzone, żywcem schwytane. Taksamo ta nieprzytomna teściowa, tłukąca się przez życie własne i cudze, jak pijana, którą tak genjalnie odtworzyła Dulębianka.

— A wiersze — jak pani tworzy wiersze. Niektóre z nich musiały się pani chyba wyśnić, albo spadły na panią, jak deszcz kwiatów.

(„...na wielkich samotnych polach [Waterloo
zerwane kwiatki...")

— Jak to jest, jak to jest — powtarza szeptem wpatrując się w spłowiałe makaty, zdobiące ściany — najprzód jest przeżycie. Potem tworzy się wokoło niego mgławica, a z niej wyłania się zwolna poetycki kształt. Nie umiem tworzyć wierszy, nie przeżywszy ich całą duszą. Ilekroć próbowałam coś stworzyć bez pomocy tego ciała astralnego — nic nie wychodziło.

— A ja pamiętam, jak Iłłakowiczówna mówiła kiedyś pół żartem, pół serjo, że talent to zając na pół misku, w spiżarni. Ktoś zamawia wiersz — wtedy odkrawa się kawałek zająca i wiersz gotów. Równie dobrze możnaby przyrównać talent do miodu w garncu, stojącym na półce. Czerpie się z tego garnca i odważa — sonet, lub piosenkę.

— Ach Iłłakowiczówna, Iłłakowiczówna czy Tuwim, to już taka najwyższa klasa poetów — powiada Jasnorzewska, — oni bezustannie żyją w poetyckim transie. Nie potrzebują czekać, na natchnienie. Cieszę się, że mogę mówić o Iłłakowiczównie. Tyle jej zawdzięczam (w głosie jej teraz dźwięczy ciepła nuta), jest taka szlachetna i wielka. Jej wiersze pachną lasem, ziołami, są pełne słońca. Ona jest dla mnie syntezą polskości w poezji. Wczoraj dostałam od niej po premjerze uroczy wierszyk i takie (roztwiera ramiona, jakby chciała odmierzyć cały stół) — taaakie pudło czekoladek. A oto wierszyk...

„Sława to mała przyjemność a bardzo wielka piła.

„Potrzeba dużo (urwała i wpatrując się w maleńki bilecik, powtarza — czego? czego? — aha — już widzę — „cukrrru" (zagruchała po gołębieniu) „żeby osłodzić triumf..."

„A jeślić niemiły asonans—zaś na rymy jesteś łaskawa",

„To posyłam ci cukierki, — aby słodszą stała się sława..."

— Jaka miiiła — prawda? — powiada z dziecinnem przekrzywieniem głowy.

— Kiedy pani napisała pierwszy wiersz?

— Miałam wtedy kilka lat. Napisałam jakieś głupstewko rymowane, o robaczkach i motylkach, ale się ze mnie w domu okropnie wyśmiewano. Tylko moja siostra zachwycała się wszystkiem. Potem długo nic nie pisałam i dopiero, gdy miałam siedemnaście lat przebudziła się we mnie tęsknota do poezji. Zachęciła mnie moja nauczycielka p. Marja Chwalibożanka, doskonała a nieznana poetka... Ach, są takie nieznane urocze poetki, których cudne wiersze nigdy nie były drukowane i znikają, jak motyle. Panna Marja była srogim, ale sprawiedliwym sędzią.

— Jakiego rodzaju poezje pisała pani wtedy?

Chwila wahania, potem pobłażliwy uśmiech.

— Gdy się ma szesnaście lat, pisz się o miłości. Tylko o miłości.

A wie pani, że doszłam do wniosku, że sztuka dramatyczna nie wiele się różni od sztuki poetyckiej. Wiersz, to minjaturowy dramat — dramat czy komedja, to duży wiersz, ale jakże męczący do opracowania.

— Ale teraz, gdy pani pszenica wydała plon, można odpocząć...

— Czekając na deszcz krytyk. — Okropnie się boję tych krytyk (otula się szczelniej miękkim płaszczykiem).

— Pani ma męża lotnika — możecie w każdej chwili wzbić się w niebo wysoko, gdzie nie sięgają złośliwe strzały.

Właśnie do pokoju, stanowiącego część pracowni Wojciecha Kossaka, w podniebnych sferach hotelu Bristol schodzi z góry młody, czarnowłosy pan. Oczy ma roześmiane — biegnie po schodach, jakby fruwał. To mąż pani Jasnorzewskiej, oficer lotnik. Najmilsze pod słońcem małżeństwo. — Samolot, to ich pegaz. Zresztą każde z nich ma swoje własne niebo — on takie, którem rządzi Pim i dzieli je na niebezpieczne wyże i niże atmosferyczne, ona ma bezkresne niebo poezji pełne niespodzianek, bajecznych ptaków i zjaw. Gdy się jej znudzi ziemia, ucieka na skrzydłach natchnienia do kraju poezji. Tak czy owak, posiada talizman, który jej pozwala żyć wysoko, ponad ziemią.

Aeroplan najpiękniejszy ptak biały
Leci w oddal ponad chmur szarzyznę,
Ma skrzydła jak szarańcza. Jest jak [orzeł śmiały.
A oczy ma i serce mężczyzny.

S A T Y R A

Jan Uszminkiewicz

AKTUALJA

Tydzień temu, w ubiegłą niedzielę, przybył do Warszawy minister Beck — bohater wycofanego wniosku w Lidze Narodów. Entuzjazm, z jakim witano triumfatora, da się chyba porównać jedynie do spontanicznego entuzjazmu, jaki zapanował w całem społeczeństwie w dniu ogłoszenia Pożyczki Narodowej i w dniu uchwalenia nowej konstytucji.

Tego samego dnia o parę godzin wcześniej przyjechali do Warszawy pp. Hynek i Pomaski, członkowie załogi balonu, który zdobył puhar Gordon — Bennetta'a. Hynek i Pomaski, wywindowawszy się mniejwięcej na wysokość Mont-Blanc, nie wycofali się z zawodów, lecz śmiało sięgnęli po zwycięstwo.

Tylko nieliczna grupka wtajemniczonych osób oczekiwała ich na dworcu. I słusznie.

Pocóżby miał kto urządzać spontaniczne przywitanie Hynka i Pomaskiego? Przecież dzień ich przyjazdu wypadł w niedzielę. Któżby miał sumienie organizować w ten dzień zbiorowe przywitanie i kazać stawić się na miejsce spotkania licznym kolejarzom, tramwajarzom, listonoszom i t. p., ludziom fizycznej pracy, harującym cały tydzień, spędzającym całe dnie na nogach...

Dobrze się stało, że nie urządzili takiego przywitania. Dobrzy ludzie wyspali się, odpoczęli i wyszli na miasto, aby w radosnym pochodzie manifestować na cześć... ministra Becka.

Zapewne manifestanci, wiwatując na cześć tego ministra, doceniali to, że dzięki jego działalności wygranie przez Polaków „Challenge'u" i Gordon-Bennett'a nabrało specjalnie doniosłego znaczenia.

Było to bowiem bezwątpienia ostatnie zwycięstwo sportowe Polski nad Niemcami. Przecież to już każde dziecko wie: w następnych zawodach reprezentaci Polski i Niemiec wystąpią w jednych, wspólnych barwach. Na przyszły rok, gdy dzięki konsekwentnej polityce ministra Becka, unja tych dwóch narodów stanie się faktem — niesposób będzie, aby Niemcy i Polska walczyły z sobą, choćby na polu sportowem.

Przeciwnie. Będziemy brać udział w różnych międzynarodowych turniejach, ale tylko razem, tylko społem, ręka w rękę. Będziemy walczyć z butą francuską, z zawadjactwem czeskiem i z zaborczością włoską. Obijemy wszystkich 5:0, co mówię 10:0! Nie będzie Francuz pluł nam w twarz!!!

Twardo będziemy bronić naszej Saary, wyrzuciwszy z kraju wszystkie Sary. Frontem do prastarej, prasaarej Alzacji i Lotaryngji! Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, przejdziem Odrę, przejdziem Ren, będziem Polakami w b. Niemczech, a Niemcami w b. Polsce!

Ale to jeszcze kwestja paru długich miesięcy. Tymczasem nadal weselmy się osobno. Demonstrujmy! Manifestujmy! Wiwatujmy! Entuzjazmujmy się! Krzyczmy! Wrzeszczmy! Nie zdejmujmy z domów flag! Nie warto.

Przecież w tych dniach rozpoczyna się „Święto mleka". Nadchodzi „Dzień oszczędności" (Prawda, przypomniałem sobie: muszę złożyć te pięć złotych na P. K. O. Całe szczęście, że zdaje się znam Grubera, to łatwo mi to załatwi). Zbliża się święto ulic! Potem będzie tydzień L.O.P.P.! Był już tydzień P.C.K. Trwał, zdaje się, pół roku. Ale to nic. Cieszmy się na miesiąc P.M.S! Na kwartał S.G.G.W.! Na dekadę P.M.T.! Na tydzień D.U.P.! Na dzień B.B.W.R.! Na godzinę T.K.K.T.!

No, a najwięcej się weselmy na kwadrans A.B.C.!

Very

W cztery oczy

Intymne rozmówki z Czytelnikami

Pan Andrzej W. Przeczytaliśmy z przyjemnością, bezsprzecznie talent, naturalnie pisać. Pańskie wątpliwości, czy rym „wiosna — radosna" jest dostatecznie wyszukany, wydają nam się uzasadnione. Istotnie, krosna będą lepsze, zwłaszcza w tym wypadku. Tango wymaga pewnej rozlewnej twardości, jak Pan słusznie zauważył. Kapitalny i pełen dyskretnego humoru jest asonans „batem — ratę".

Co do drugiej części Pańskiego listu, to możemy odpowiedzieć tylko: odwagi, kochany Panie, odwagi! Nie tracić nadziei! Prawda, że Pańskie rozgoryczenie jest całkowicie słuszne, że wiadomy symbol uznania ze strony społeczeństwa bezwzględnie się Panu należy, ale dlaczego Pan przypuszcza, że odrzucimy Pańską propozycję? Przeciwnie, właśnie my rozumiemy i szanujemy Pańskie łzy i chętnie zajmiemy się zbieraniem składek na wiadomy cel. Nie wydaje nam się tylko, aby miejsce było odpowiednie. Raczej Mickiewicza przenieść przed Prezydjum Rady Ministrów, a Pański postawić naprzeciwko Trębackiej. Zresztą, jest wolne miejsce na skwerku Hoovera. Czy, ewentualnie, to miejsce dogadzałoby Panu? Co? Tak tuż pod bokiem...? Prosimy o rychłą odpowiedź, gdyż chcielibyśmy zaraz po niedzieli rozpocząć zbieranie składek. (Pańskie pięć złotych, zapiszemy, naturalnie, jak Pan sobie życzy, p. t. „Bezimiennie od wielbiciela").

Pan Profesor. Naturalnie, że to wszystko są skutki nieszczęsnej wyprawy kijowskiej i braku porozumienia ze sprzymierzonymi. Jednakże wydaje nam się ryzykowne twierdzenie, że ustęp B. trzeciego punktu, artykułu jedenastego, paragrafu siódmego dodatkowej umowy do konwencji lozańskiej nie upoważnia pana B. do tej interpretacji. Ustęp C. zawiera słowo „zaleca się", nie zaś „wzywa się", a więc, jak Pan Profesor widzi, wnioski są dalekoidące.

Chętnie dopomożemy Panu Profesorowi do zrealizowania wyłuszczonego celu. Wprawdzie pan B. upiera się, że z posady nie ustąpi, ale, na wszelki wypadek, niech nam Pan Profesor przyśle obiecany dłuższy referat, komentujący ustęp D. umowy dodatkowej. Może jakoś przekonamy pana B., że w okresie wydarzeń tak doniosłych bardzo potrzebni są znawcy umów dodatkowych.

Pan Prezes St.-Dz. Naszem zdaniem, powinien Pan Prezes skierować sprawę na drogę sądową. Jeśli istotnie konkurencja ukryła trzynasty znak Zodjaku, a pogłoski, że jest ich tylko dwanaście rozpuszcza jedynie w tym celu, aby ludzie niezamożni nie mogli sobie pokryjomu stawiać horoskopów — no, to to jest skandal niesłychany i sprawa wręcz prokuratorska. Niech Pan Prezes nie się nie krępuje, tylko odrazu rżnie do sądu. Zgniją w kryminale, albo ich wsadzą na trzy miesiące do B., spiskowców przeklętych.

Pan G. Nie płacz pan, bo posada zła nie jest. A gdyby tak było naodwrót, to co? Ganiałbyś Pan ze szpadlem, a tak, chodzisz Pan sobie z trzcinką. Że odpoczynku Pan nie ma, tylko cały dzień musi pan latać dookoła i pilnować, żeby który nie dał dęba? Więc cóżeś pan tam chciał robić? W brydża grać?

W tem tylko ma Pan rację, że oni wszyscy po jakimś czasie wychodzą, a Pan „furt siedzi". To prawda. I będziesz pan siedział do usiedzianej ćwierci. Ale pomyśl Pan, z jaką dumą będziesz pan mógł potem opowiadać: „Ja! Ja najdłużej siedziałem w..." (wiesz Pan, gdzie).

Pan Marjan D. Szczerze Panu współczujemy, kochany Panie. Istotnie, to zły znak. Oni tak zawsze: naprzód wylewają człowieka z klubu, potem mu wyłamują zęby, a nakoniec sadzają do paki. Jeżeli więc ma Pan pewne wiadomości, że chcą Pana turnąć z klubu i z sejmu, to bardzo możliwe, że potem zamkną Panu najbardziej dochodowy tygodnik i, naostatku Pana. Albo nawet, nie będą Panu zamykać tygodnika, tylko wydadzą ustawę, że nie wolno pisać o morderstwach i zbrodniach i w ten podstępny sposób Pana położą.

Radzimy Panu tak: niech Pan dzienniki przekształci na tygodniki, a tygodniki na dzienniki. To uśpi trochę ich czujność. Potem niech Pan tygodniki przekształci na miesięczniki, a dzienniki na... (no, domyśla się Pan? Żeby wychodziły w nocy). To ich całkiem zdezorjentuje. A jak Pan przekształci te dzienniki, to niech Pan weźmie z kasy całą forsę i zwieje do Ameryki. Jedyna rzecz, drogi Panie.

Zygmunt Jurkowski

Z cyklu „Reportaże satyryczne"

W niechlujnej krainie

Zachęcony egzotycznemi zdobyczami pewnej śmiałej reporterki (patrz reportaże: „Czarny ląd — Warszawa" w „Wiadomościach Literackich"), postanowiłem zapuścić się w ponurą i pełną tajemnic, północną dzielnicę Warszawy. W tym celu umówiłem się z Panią Irke Krzywicką *), która obiecała mi w tem dopomóc. Poznałem ją na targu, gdzie sprzedawała świece, wyglądała niezbyt powabnie, miała bowiem obszerny watowany kaftan z przekrzyżowaną na nim zieloną chustką, co ją bardzo pogrubiało.

Umówiłem się mianowicie z panią Irke, że pójdziemy razem do mykwy. O umówionej godzinie pojechaliśmy „dziewiętnastką" na Gęsią i wysiedliśmy na pełnej wybojów ulicy. Od przystanku było zresztą niedaleko, wkrótce ujrzeliśmy napis: „Łaźnia, kąpiele i prysznice".

Coś mię ścisnęło za serce, uczułem lęk jakiś dziwny, byłem jednak stanowczy i zdecydowany. Żadne pióro nie opisze brudu schodów, po których musiałem spuszczać się ku dołowi. Nie obmyśliłem jeszcze pretekstu, jakiego użyję, aby skorzystać z rytualnej kąpieli, czekałem na błysk natchnienia, węszyłem konjunkturę. Na śliskich i oblepionych mydłem schodach, leżała w niedbałej pozycji, olbrzymiej tuszy postać niewieścia, w której rozpoznałem z łatwością panią Wandę Melcer. Bywając tu często, zaskarbiła sobie względy łaziebnych, zaklimatyzowała się, osiadła na stałe i oto pełni teraz funkcje „negelsznejderki" i odmawia „koszer".

Mykwa zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie. Pełno znajomych twarzy, spotykanych codziennie w Ipsie lub Ziemiańskiej. Stoją w małym basenie, który ma kształt beczki, mieszczącej podług przepisów 40 wiader wody, czyli, jak obliczyli rabini 44118 i pół pojemności nosa Pani Johwed Migowej.

W samych tylko eigerach stoi zanurzony po kostki, Steffi Kostka - Napierski, za nim dźwigając piramidy własnego ciała, wynurza się z wody powabna postać Mojżesza Waszyńskiego, obok, wziąwszy się za ręce, pluszczą się Rózia Szelburg i Fanny Zahorska, dalej nurzają się Srul Włast, Jojne Lawiński, Cipe - Dwojra Jehanne, Moniek Hemar i inni równie znani, mili i lubiani. Poza obrębem basenu, ziewając i drapiąc się po wełnistych włosach, łazi paru łaziebnych i szabesgojów.

Na dany znak zanurzają się wszyscy po głowę w mętnej wodzie i trwają tak długo dopóki pani Melcer nie odmówi „koszer". Po skończonej modlitwie piramidy białego ciała wynurzają się, zlekka prychając i ociekając wodą. Wreszcie są czyści, rytualna kąpiel zdjęła z nich brud.

Nagle zwraca się do mnie „negelsznejderka":

— Widzi pan, jaka tu czysta woda? Jej się można napić, niech pan spróbuje. Sura! przynieś szklankę.

Wącham zawartość omszałej szklanki i konstatuję, że woda przypomina zapachem wodę „melcerską".

Spoglądam na moją towarzyszkę, panią Irke Krzywicką, która przygotowuje się właśnie do ablucji. Jest teraz niepokojąco cienka, ma na sobie fioletowe bawełniane pończochy, posiada trykoty, które widać dokładnie spod krótkiej spódnicy, eigerowski kaftanik z długiemi rękawkami i żółtą letnią suknię bez rękawów z cokolwiek pogniecionemi falbanami, na których wzrok mój spoczywa z ciężkiem pożądaniem.

Dla odwrócenia uwagi, zrzucam z siebie odzienie, i pozostaję w uprzednio włożonych kąpielowych trykotach. Mimo wrzaskliwych protestów łaziebnych, wyciągam ręce do popisowego skoku i sfruwam wspaniałą „jaskółką" na środek basenu. Nie bacząc na krzyki kąpielowej obsługi, wykonuję tę czynność siedem razy z rzędu, aż do zupełnego „oczyszczenia".

Po otrzeźwiającej rytualnej kąpieli udajemy się wszyscy na ulicę Pawią, gdzie mają się odbyć zaśluby Steffi Kostki Napierskiego z „negelsznejderką" Wandą Melcer.

Kiedy suniemy w górę po namydlonych schodach, moja towarzyszka wskazuje mi drzemiącą w poczekalni skuloną posturę, w której rozpoznaję Taddy Boya.

— Niech pan da mu parę groszy, tak, żeby dotknąć jego ręki, to on już będzie ten mężczyzna, dla którego oczyszczamy się w mykwie.

Idąc przez Pawią, powracam jeszcze myślą do drobnej skulonej postaci. Biedny zgarbiony chłopczyna, magiczny kochanek wszystkich kąpielowiczów, musi dźwigać ten erotyczny balast męskich i damskich pożądań, a ciężka duszna masa naerotyzowanej atmosfery przewala się koło niego zaledwie go dotykając. Wzrok jego jest mętny, cała postać wyraża zupełną obojętność dla spraw tego świata.

Ale oto jesteśmy wszyscy u celu i rozpoczynamy przygotowania do ślubnych obrzędów. Ścisk taki, że trudno się poruszyć, cała zawartość Ipsu, Adrji i Ziemiańskiej z „marszelikiem" Albrechtem na czele wyległa hucznie, buńczucznie na zaślubiny młodej pary.

Pan młody jest dziwnie małego wzrostu, ma twarz dziecka i oczy jakgdyby zapłakane, może to będzie nieładnie z mojej strony, ale powiem poprostu, że pan młody płacze. Podprowadzono go pod baldachim i oto stoi teraz w eigerach obok narzeczonej, która wyniosłą postawą równoważy jego małość.

Czterech „szabesgojów" przytrzymuje lakierowane drążki „chuppy" czyli baldachimu. Na środku natłoczonej izby stoi szeroki stół zastawiony potrawami: Ciulenty, beigeły, kugiele, rybki, gęsie pipki, mejgeły, [illegible]felki i chały piętrzą się licząc na apetyty zgromadzonych gości.

Podtrzymywany przez „szamesów" spłakany Steffi-Kostka-Napierski zbliża się do Wandy oblubienicy i starodawnym zwyczajem opuszcza jej na twarz zasłonę, utkaną z mętnych iluzyj, poczem rabin podaje mu kieliszek do stłuczenia na szczęście.

Wśród głuchej ciszy rozlega się tupnięcie słabej nogi wątłego młodzieńca, raz, drugi raz — i ciągle na nic, kieliszek nie pęka. Pan młody kopie ze zdwojoną siłą, niestety kieliszek pozostaje nienaruszony. Spocony, zziajany w rozpaczliwych podrygach podskakuje biedny Kostka, usiłując roztłuc kieliszek. Upływają chwile oczekiwania, łączą się w minuty, kwadranse... Wreszcie pan młody blady z wyczerpania osuwa się bezwładnie na ręce starych, zdobnych w peruki kobiet.

„Marszelik" Albrecht i rabin Grydzewski rozkładają bezradnie ręce i drżącemi głosami ogłaszają, że ślub jest nieważny. Młodzieniec, powiedzmy to między nami, okazał się dość miernym atletą, skoro nie miał na tyle siły, aby roztłuc kieliszek.

— Taki wątły „szmokunie" nie może się nadawać na męża dla tak potężnej „nykajwe", jaką jest pani Wanda Melcer.

— Żegnajcie zatem tańce i swawola, żegnaj weselny „brojgeltanc"!

Uroczystość się nie odbędzie. Żegnajcie „mejgełe, kugiele, bejgełe, gęsiepipki, leberkes, szpondry i ciulenty"!

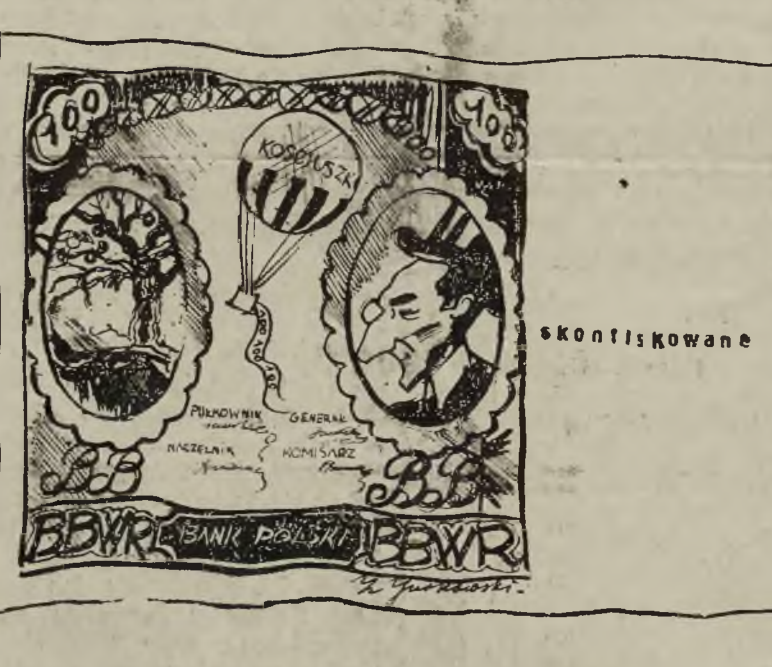
Wracałem z panią Irke, objąwszy ją smutnie za gęsią szyję. Szliśmy pełnemi wybojów ulicami, oświetlonemi słabo przez łukowe lampy...

Później nieraz jeszcze wracałem myślą do ciemnych zaułków ponurego ghetta, kolebki owych tak miłych i czarujących bywalców Ipsu i Ziemiańskiej.

*) Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam, że wszystkie nazwiska zawarte w niniejszym reportażu, czerpałam wyłącznie z książki telefonicznej.

Jest to zwyczaj lansowany w „Wiadomościach Literackich" z okazji perypetji Brunona Winawera z nazwiskiem bohatera jego sztuki — p. Rodysem.

Spowodu wypuszczenia w obieg nowej niebardzo udanej stuzłotówki



Nasz projekt nowej stuzłotówki
(W lewym owalu zagadka dla dzieci i młodzieży: „Sukaj myśliwego").

Janusz Minkiewicz

Polska na niebie

Z konkurencją światową
Wciąż jesteśmy na r e m i s :
Wygrywamy w powietrzu —
Przegrywamy na ziemi.

Chudzi, smukli rodacy
Zapatrzyli się w górę —
Wieńczą głowę w powietrzu,
Kiedy dół bierze w skórę.

W meczach, w Lidze i w Radzie
Wciąż zadają nam bobu...
Posłuchajcie więc mego
Na to wszystko sposobu:

W Polsce nic nie zdziałamy,
O tem każdy już Żyd wie,
Więc sprzedajmy ojczyznę
Niemcom, Rosji i Litwie!

Choć wyglądać to będzie
Nieco zbyt po żydowsku,
Lecz przestanie nasz p r e s t i g e
Ciągle wisieć na... wniosku.

Z osiągniętą gotówką,
Z miną chytrą i planem,
Wycofamy się hynkiem
Wraz z Pokrzywką, Bajanem.

Przeniesiemy się w chmury,
Zamieszkamy na niebie,
Bo wygodniej tam będzie,
Niż na globie i glebie.

Zabierzemy się wszyscy —
Coś z miljonów trzydzieści —
Bo na stropie niebieskim
Cały kraj się pomieści.

I do góry nogami
Każdy z nas będzie chodzić
Po niebiańskiej powale,
Jak zza mórz antypodzi.

Spaść spowrotem na ziemię
Nikt z przybyszów nie zdąży:
Już Krzywicka odkryje
Nowe tam prawo ciąży!

Urządzimy tak państwo,
By sąsiadów krzyk ucichł:
Już nam nic nie przeszkodzi
Z sobą tylko się kłócić!

I w tamtejszej ojczyźnie
Zostaniemy ci sami:
Zabrudzimy niebiosa
Niechlujnemi miastami.

Ogłosimy następnie
Reform plan bardzo drogi,
Aby łbami kociemi
Usiać bruk Mlecznej Drogi.

A gdy gwiazda sukcesów
Będzie stawać się bledsza —
Zrobią czystkę w obłokach
I sanację powietrza.

Kiedy już zakończymy
Przeprowadzkę na chmurze,
Rozpętamy na wiwat
Błyskawice i burze.

Obwieścimy tak światu
(Jeśli nic się nie zmieni)
Chwałę na wysokościach,
No, i pokój na ziemi...

Amnestja

I my ogłaszamy amnestję. I nam też przyszło do głowy, żeby choć na krótki okres czasu dać wytchnąć naszym ofiarom. Postanowiliśmy, począwszy od następnego działu satyry, obdarzyć amnestją następujące osoby:

A więc:

1) Pos. Strońskiego nie będziemy poruszać w naszych satyrach w ciągu — 4 tygodni.

2) Min. Beck dostaje również amnestję 4-tygodniową za zasługi, położone w roku 1905-ym.

3) P. Kaden-Bandrowski Juljusz pod warunkiem, że przez cały ten czas będzie się sprawować nienagannie, dostaje amnestję 3-tygodniową.

4) Miriam ze względu na podeszły wiek, dostaje amnestję dwutygodniową.

5) P. Krzywicka dostaje bezterminową, zależną tylko od naszej fantazji, amnestję, wobec niewątpliwych zasług na polu krzewienia kultury seksualnej w Polsce.

I tak dalej, i tak dalej...

Znudziły się nam te rekwizyty humoru. Rozglądamy się za czemś nowem, lepszem... Bierzemy białą kartę papieru i umieszczamy na niej naszą czarną listę. Nowe twarze, nowe nazwiska. Lista niekompletna ciągle będzie uzupełniana. Prosimy czytelników o pomoc w wynajdowaniu świeżych ofiar. Poszukujemy nowych twarzy!

A oto nowa, niekompletna czarna lista:

1) Wacio Grubiński — nudziarz do „Tańca" i do różańca".

2) Zdzisław Kleszczyński groźny nasz konkurent z narodowej prasy.

3) Andrzej Włast — nazwisko mówi samo za siebie.

4) Madame Krzyw... (Nie! Przepraszam. Pomyliłem się. To wszystko ten nieszczęsny kompleks Krzywickiej. Ale przysięgam: to ostatni już raz, kiedy wymieniam nazwisko jej sexcelencji...).

5) Wincenty Rzymowski, słynny jako piętnasty akademik literatury.

6) Kpt. Lepecki z okolic Żywca, oraz ze względów fonetycznych panowie:

7) Galis,

8) Wallis — obaj literaci.

Tudzież:

9) aktor Benda i

10) aptekarz Wenda!

Pozatem na owej liście znajduje się wiele innych nazwisk, których chwilowo nie podajemy, aby nagle i niespodziewanie zaskoczyć nowe ofiary.